

Spokojnie, to tylko populizm

6 grudnia 2014

Ograniczenie imigracji jest sprzeczne z interesem biznesu i pryncypiami Unii Europejskiej, dlatego brytyjskim politykom pozostaje jedynie retoryka. Jednak umiejętne zarządzanie negatywnymi emocjami i omijanie realnych problemów na dłuższą metę nie wystarczą.

W debacie publicznej w Wielkiej Brytanii paranoiczne obawy przed zalewem z zewnątrz osiągnęły punkt krytyczny. Zeszłotygodniowe, długo oczekiwane przemówienie premiera Camerona w sprawie Unii Europejskiej, które praktycznie zamieniło się w antyimigracyjne wystąpienie, tylko to potwierdza. Dla lidera torysów, który przegrał drugie z rzędu wybory uzupełniające do Izby Gmin z rosnącą w siłę UKIP, tym razem w Rochester – tradycyjnym mateczniku Partii Konserwatywnej – piątkowe przemówienie było próbą rozwiązania politycznej kwadratury koła. Chęć złagodzenia tonu w stosunku do Unii, spacyfikowania swoich partyjnych jastrzębi przy jednoczesnym zamachu na podstawowe prawa i pryncypia Wspólnoty Europejskiej, zagospodarowanie głosów antyimigracyjnie nastawionych wyborców i zepchnięcie Nigela Farage’a do politycznej defensywy to było zadanie prawie niewykonalne. To nie mogło się udać i w praktyce się nie udało, mimo że Cameron zebrał dobre recenzje zarówno w konserwatywnej, jak i liberalnej prasie. Powściągliwe, ale jednak pozytywne opinie pojawiły się także w polskich mediach. „Gazeta Wyborcza” napisała, że „przemówienie może napawać ostrożnym optymizmem”, a Marek Ostrowski z „Polityki”, że krytykując Camerona, należy „pamiętać o okolicznościach łagodzących”, czyli o słusznej walce lidera torysów z populizmem Farage’a i z eurosceptycznie nastawionymi brytyjskimi tabloidami. W polonijnych środowiskach na Wyspach zapanował zaś niemal entuzjazm. Bo w końcu premier docenił polskich lotników walczących podczas II wojny światowej i zaatakował „beneficjarzy”. A nikt i nic tak

nie irytuje Polaków w UK jak ci, którzy korzystają z pomocy państwa. Powodów do radości jednak nie ma. Ksenofobiczne i najprawdopodobniej nielegalne propozycje Camerona są próbą odwrócenia uwagi od rzeczywistych problemów, z którymi boryka się Wielka Brytania: niskimi płacami, kryzysem mieszkaniowym, brakiem wsparcia dla niewykwalifikowanych pracowników oraz kurczącą się możliwością awansu zawodowego i materialnego. Kierowanie politycznych działań na emigrantów, choć zawsze robi dużo medialnego huk, zupełnie mija się z celem.

SPOŁECZNA BOMBA

W kryzysowych czasach „obcy” jest zawsze wdzięcznym obiektem ostrzału, a znaczące i odczuwalne pogorszenie warunków bytowych Brytyjczyków powoduje, że emigranci stają się jeszcze bardziej eksponowani. Antyimigracyjne nastroje w Wielkiej Brytanii nie mają bowiem podłoża tożsamościowego ani ksenofobicznego, lecz ekonomiczne. Tu nie chodzi o „multikulti”, ale o Mcjobs. Kryzys, błędna polityka ekonomiczna duetu Cameron – Osborne, dążenie do zysku za wszelką cenę wielkiego biznesu, który trzyma płace na najniższym możliwym poziomie, masowe odbieranie ludziom zasiłków spowodowały, że wzrosła presja na najgorsze stanowiska pracy. Brytyjczyk, który traci nagle zatrudnienie albo po latach pobierania świadczeń zostaje zmuszony do szukania pracy, trafia na twardy mur, którego nie jest w stanie przebić. Dobrze płatne zawody są nieosiągalne bez wysokich kwalifikacji i doświadczenia, a te, w których pensje są niemal głodowe, okupowane są przez przybyszów z innych krajów. Głównie ze wschodniej Europy. Do tego dochodzi jeszcze niewystarczająca liczba mieszkań komunalnych, cięcia w samorządach, służbie zdrowia i organizacjach wspierających potrzebujących. Wszystko to budzi złość, frustrację, poczucie osaczenia. To nie przypadek, że imigrację za największy problem Zjednoczonego Królestwa uznają ci sklasyfikowani w najniższych ekonomicznych klasach – C2, D i E, czyli robotnicy wykwalifikowani i niewykwalifikowani, ci, którzy pracują od

czasu do czasu, i ci, którzy pracują rzadko albo wcale. To oni najbardziej cierpią z naszego powodu, nie mogąc znaleźć nawet doraźnego zatrudnienia przy zbieraniu owoców, na fabrycznych taśmach albo przy malowaniu płotów. To oni też stanowią coraz większą armię sympatyków UKIP, kształtując pośrednio zarówno debatę publiczną na Wyspach, jak i polityczną układankę. Problem w tym, że żadna z partii nie ma dla tej coraz większej rzeszy ludzi wykluczonych żadnej politycznej oferty. Wymagałoby to bowiem zakwestionowania paradygmatów dominujących w Wielkiej Brytanii w ostatnich dekadach. Tak się jednak nie stanie, bo pole manewru w debacie ekonomicznej zawężało się, a więc ciężko jest w tradycyjnym obszarze sporu politycznego dostrzec wyraźne linie podziału. W sukurs przychodzi więc emigrant, w którego można wycelować ostrze retoryki. Tylko tyle, bo szans na rzeczywiste ograniczenie emigracji nie ma żadnych.

ZASIŁKOWE POLE NAMIOTOWE

Rządzący Wielką Brytanią wpadli we własną polityczną pułapkę. Pozbawiając się pola ekonomicznego manewru, przekierowali społeczną wściekłość na „obcych”, kreując przy tym sytuację bez wyjścia. Na ograniczenie emigracji nie zgodzi się brytyjski biznes, który czerpie olbrzymie zyski zarówno z taniej siły roboczej, jak i z wysoko wykwalifikowanych specjalistów przyjeżdżających do Wielkiej Brytanii z różnych krajów. Cameron nie uzyska także zielonego światła w tej sprawie od Unii Europejskiej. Propozycje, żeby dopiero po czterech latach pracy na Wyspach imigranci mogli otrzymywać przywileje podatkowe i prawo do ubiegania się o mieszkania socjalne, żeby – nawet po czterech latach pracy – nie mogli pobierać zasiłków na dzieci mieszkające w kraju pochodzenia, a ci, którzy przyjeżdżają i nie znajdą pracy, nie mogli pobierać zasiłków dla bezrobotnych i po pół roku byli deportowani – są absurdalne i niemożliwe do zrealizowania. Zarówno ze względów prawnych, jak i politycznych. Drastyczne ograniczenie praw przyjezdnym z innych krajów UE to dyskryminacja, którą sądy

niemał na pewno zakwestionują. Nawet jeśli propozycje Camerona przejdą w jakiejś mocno okrojonej formule, na przeszkodzie ich wprowadzeniu stanie 27 krajów Wspólnoty. Bo zgodzić się muszą wszystkie. To jednak jedyne kwestie, które David Cameron mógł zaproponować. W tym przypadku również stał się ofiarą swojej własnej retoryki. To w końcu torysi od dłuższego czasu powtarzają bezmyślną formułkę o „turystyce zasiłkowej”, która zalewa Wyspy. Wbrew faktom. W końcu, jak pokazuje raport Migration Observatory, Zjednoczone Królestwo w kwestii zasiłkowej hojności znajduje się w europejskiej trzeciej lidze, daleko za liderami – Francją i Niemcami, a nawet za Portugalią, Belgią, Danią, Finlandią, Holandią czy Hiszpanią. Wielka Brytania rocznie wydaje na statystycznego obywatela pobierającego zasiłki średnio 7350 euro i znajduje się na 15. miejscu w Unii. To nie jest bajeczny raj zasiłkowy, raczej średniej jakości kurort, by nie powiedzieć zasiłkowe pole namiotowe – z podstawową infrastrukturą, ciepłą wodą i kabinami prysznicowymi, ale bez żadnego luksusu. Jednak zmasowany atak propagandy Partii Konserwatywnej na „rozbuchany” system socjalny na Wyspach spowodował, że w powszechnym odczuciu Zjednoczone Królestwo to faktycznie zasiłkowy magnes, który przyciąga biednych imigrantów. Fakty nie mają tu żadnego znaczenia. Już od dawna polityka, nie tylko w Wielkiej Brytanii, polega w głównej mierze na zarządzaniu zbiorowymi emocjami i omijaniu problemów. Racjonalna debata na temat emigracji wymagałaby sporego wysiłku intelektualnego. Od wszystkich, nie tylko od polityków. To w końcu proces globalny, efekt nierówności społecznych, braku równego dostępu do dobrobytu i zasobów. Skomplikowany problem ekonomiczny, społeczny i polityczny. Prostych rozwiązań nie ma nikt. Zostaje zatem populizm.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)